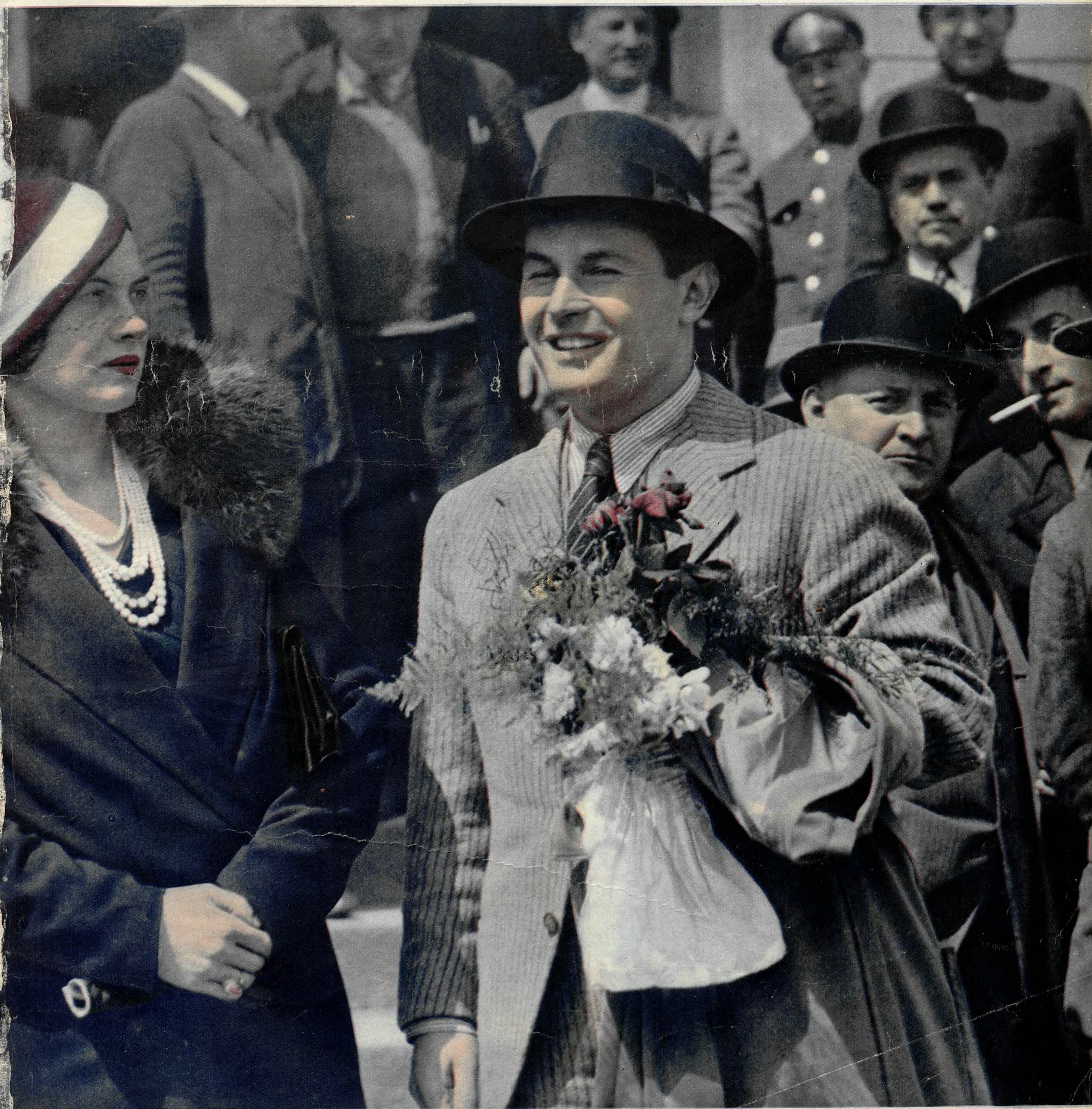
Nr. 24 (461). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 10 czerwca 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X.

ŚWIATOWID

JAN KIEPURA W WARSZAWIE.



Znakomity nasz śpiewak Jan Kiepura przybył po dłuższym pobycie zagranicą na kilka tygodni do Polski. W ub. sobotę dał on koncert w Warszawie, który zgromadził wielotysięczne tłumy w sali Filharmonji. Wielkiego artystę oklaskiwano entuzjastycznie. Na zdjęciu Kiepura po przyjeździe na dworzec warszawski. Zdjęcie Ag. fot. „Światowid".

SIEDM LAT NA POSTERUNKU.

W miesiącu bieżącym upływa 7 lat od przybycia do Polski w charakterze ambasadora Francji p. Juljana Laroche'a, mianowanego na to stanowisko dni 31 grudnia 1931 r. W ciągu swego 7-letniego pobytu ambasador Laroche zyskał sobie w Warszawie sympatję i uznanie zarówno w kołach dyplomatycznych, jak i towarzyskich. Urodzony w r. 1872, amb. Laroche po ukończeniu studjów prawniczych poświęcił się karjerze dyplomatycznej. Od 1921 r. zajmował coraz wybitniejsze stanowiska w departamencie spraw zagranicznych, zaś po zawarciu pokoju brał wybitny udział w obradach konferencyj pokojowych i przy opracowywaniu traktatów dotykając się zbliska spraw Górnego Śląska i Gdańska.

W dniu 30 bm. w salach Resursy Kupieckiej w Warszawie odbył się bankiet ku uczczeniu amb. Laroche'a, zorganizowany przez organizacje społeczne. Przez cały czas pobytu amb. Laroche'a w Polsce, piękne salony ambasady były ośrodkiem życia towarzyskiego warszawskich sfer dyplomatycznych, goszcząc również przedstawicieli czołowych sfer artystycznych, literackich i towarzyskich. W zdobyciu sympatji i popularności sekundowała ambasadorowi jego małżonka, z wielką subtelnością czuwająca nad stroną reprezentacyjną ambasady.



Ambasadora Francji p. Laroche'a, z okazji 7-lecia pobytu jego w Polsce uczczono bankietem w Resursie Kupieckiej w Warszawie (na zdjęciu).



J. Laroche, ambasador Francji w Warszawie.



Ogród ambasady.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOTOGRAFICZNEJ „ŚWIATOWID".

Wspaniały gobelin w ambasadzie francuskiej w Warszawie.

„Koń magnata polskiego za 250.000 dolarów“

W nr. 22 (459) z dnia 27 maja .b r. podaliśmy pod powyższym tytułem na podstawie materjałów, przesłanych nam z agencji amerykańskiej zdjęcie, przedstawiające p. Alfreda hr. Potockiego z dwoma końmi, z których jeden wartości 250.000 dolarów ma być rzekomo własnością hr. Potockiego. Obecnie otrzymujemy od pełnomocnika p. hr. Potockiego, p. mec. dr. Horaina pismo, które z całą gotowością poniżej zamieszczamy, jako wyjaśnienie istotnego stanu rzeczy.

Redakcja.

„P. Kellog, właściciel sławnego stada arabów czystej krwi w Pomonie koło Los Angeles, nabył zaraz po wojnie w Anglji od Lady Wentworth, właścicielki stada arabów, dwie klacze, córki ogiera „Skowronka“, wychowanego w stadzie hr. Józefa Potockiego w Antoninach na Wołyniu. Ogier ten bowiem jako champion arabski w Anglji nabył szeroką sławę. Od tych dwóch klaczy p. Kellog posiada dwa śliczne ogiery, z których jednego nazwał „Count Potocki“ i ofiarował w podarunku gubernatorowi stanu Kalifornia. Ucieszony zaś wizytą hr. Alfreda Potockiego prosił go o sfotografowanie go w otoczenu tych dwóch rasowych koni, wywodzących się po dziadku „Skowronku“ z Polski.

Notatka zatem, jakoby konie te stanowiły kiedykolwiek własność hr. Alfreda Potockiego, jest mylną.“

NAJCIEKAWSZY SĄD ŚWIATA.



W Walencji w Hiszpanji urzęduje raz na tydzień t. zw. „sąd wodny“, który załatwia wszelkie sprawy i spory, jakie wynikają pomiędzy członkami spółek meljoracyjnych, grających tak ważną rolę w tym suchym kraju. Wszystkie sprawy załatwia się tam w ciągu kilku minut, bez żadnych aktów i długich przemówień. Sąd wyrokuje bezapelacyjnie, skazując oskarżonego na karę, która musi być natychmiast uiszczona. Św. Biurokracy musi bardzo krzywem okiem patrzeć na ten trybunał, który tąk doskonale już od wieków obywa się bez papieru, atramentu, kodeksów, paragrafów i aktów.

GDY SERCE ZAMIERA.



Wśród środków, wzmacniających akcję serca do dziś dnia niezastąpione są liście naparstnicy purpurowej (na zdjęciu). Ziele to rośnie dziko w lasach górskich zachodnio-europejskich i jest bardzo pospolite. Dla celów leczniczych uprawia się je na wielką skalę. Największe plantacje tego rodzaju znajdują się w Niemczech. Zbierając liście naparstnicy trzeba zachować pewne środki ostrożności, ponieważ jest to roślina silnie trująca.

NIE TAK ŁATWO BYĆ BŁAZNEM.



Gdy się kogoś nazwie błaznem, to się obraża. A jednak tym błaznem nie tak łatwo jest zostać. Do zawodu tego trzeba bowiem talentu i wrodzonych zdolności, których ani nabyć, ani kupić nie można. Trzeba się bowiem z niemi urodzić. Kandydat na błazna musi także ukończyć odpowiednie studja. Zazwyczaj praktykuje on u jakiegoś Augusta w wędrownym cyrku, gdzie zbiera po gębie, (to publiczność z galerji najbardziej cieszy), staje na głowie i robi komiczne miny. Tego rodzaju błaźni nadają się jedynie tylko do występów w trzeciorzędnych cyrkach. Dla błaznów wirtuozów istnieje specjalna akademja w Berlinie. Błazen przechodzi tam kurs aktorski (dykcja, mimika, akrobacja) i musi pilnie uczęszczać na lekcje. Ale za to ukończywszy studja, może prędzej znaleźć posadę, aniżeli student, który ma w kieszeni dyplom magistra prawa, czy filozofji. Świat bowiem potrzebuje uśmiechu i dlatego dla błaznów jest zawsze otwarty. Na zdjęciu uczeń berlińskiej szkoły błaznów, wykonujący karkołomne ewolucje.

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY HIPPICZNE W WARSZAWIE.

Rotmistrz Lewicki, zdobywca nagrody „Ilustr. Kuryera Codziennego“ i nagrody posła Marjana Dąbrowskiego w postaci samochodu marki „Fiat“.

Już od szeregu lat odbywają się co roku w czerwcu międzynarodowe konkursy hippiczne w Warszawie w Łazienkach. Biorą w nich udział wszyscy czołowi jeźdźcy polscy a oprócz tego drużyna francuska, czechosłowacka, rumuńska itd. Konkursów hippicznych nie należy mieszać z wyścigami konnemi. Zwycięzcą bowiem zostaje jeździec, który bez błędu, t. zn. w przepisanym czasie weźmie szereg przeszkód, nie zrzucając poprzeczek, za co liczy się punkty karne.

Przeszkody są wysokie mniej więcej na półtora metra a szerokie do 5 m.

Z polskich jeźdźców obecnie na czoło wysuwają się rtm. Szosland, rtm. Lewicki, por. Dąbski-Nehrich i rtm. Królikiewicz.

Program zawodów obejmuje szereg konkurencyj. Do najciekawszych należał konkurs potęgi skoków o nagrodę „I. K. C.“. Zdobył ją rtm. Lewicki, przebywając parcours bez błędu.



Por. de Maupeou (Francja), uległ ciężkiej kontuzji na przeszkodzie.

Zdjęcia Ag. fot. „Światowid“.

U PIEWCY ŚWIĄTKÓW BESKIDZKICH.

W Zielone Świątki, Wadowice i Gorzeń Górny były widownią pięknych uroczystości, związanych z jubileuszem 25-lecia pracy poetyckiej Emila Zegadłowicza. W dniach tych lud beskidzki złożył hołd twórcy, który za główny motyw swojej poezji obrał proste życie chłopa beskidskiego, powsinogów tamtejszych i świątków, stojących po kapliczkach przydrożnych.

Całe święto poezji w Wadowicach i Gorzeniu nacechowane było spontanicznością sympatyczną prostotą, wolną od wszelkiego sztucznego namaszczenia różnych miejskich akademij i jubileuszów. Przedewszystkiem chłopstwo zaznaczyło swój najżywszy udział, składając hołd ukochanemu poecie przez usta swoich delegatów, odgrywając sceny z widowiska ludowego, składając kwiaty i kołacz u stóp Emila Zegadłowicza.

Ta właśnie rzewna, wiejska uroczystość była najmilszym wspominkiem zielonoświątecznym z Gorzenia. Ukoronowało to przedstawienie „Sobótki“ Jana Kochanowskiego, które zachwyciło wszystkich szlachetnością kruszcu najpiękniejszej polszczyzny. Tło dla przedstawienia było wymarzone, gdyż wokoło szumiał gaj gorzeński a cisza wieczorna była najpiękniejszą dekoracją.

Na uroczystość Emila Zegadłowicza przybył z Krakowa p. wojewoda dr. Kwaśniewski, wielka ilość delegatów z Krakowa i całego Beskidu i Podtatrza, konsul czechosłowacki z Krakowa, dr. Maixner i attache prasowy poselstwa rumuńskiego w Warszawie Cotsus.



Znakomity poeta Emil Zegadłowicz, przyjmujący hołd delegacji w dniu swojego jubileuszu 25-lecia pracy literackiej. Obok poety (po prawej) siedzi jego żona, po lewej wojewoda krakowski dr. Kwaśniewski.

HISTORJA WĄSÓW GEN. NAGAOKA I BAZEWICZA.



Maska pośmiertna generała Nagaoka, którą zrobiono celem uwiecznienia jego historycznych wąsów.



Gen. Nagaoka w rozmowie z oficerami Marynarki. Zmarł on w ub. miesiącu w Japonji. Uchodził za posiadacza najdłuższych wąsów na świecie.

Przed kilku tygodniami cała Japonja okryła się żałobą. Oto zmarł w sędziwym już wieku generał Nagaoka, który swego czasu zapisał swe imię złotemi głoskami w dziejach walk rosyjsko-japońskich. On to w r. 1905 odniósł olbrzymie sukcesy na czele swej armji i stał się dla całej Japonji zarówno wczorajszej, jak i dzisiejszej symbolem bohaterstwa i tężyzny narodowej.

Gen. Nagaoka znany był w Japonji nietylko ze swoich czynów żołnierskich, ale również i dlatego, że był posiadaczem największych wąsów na terytorjum Wschodzącego Słońca, a prawdopodobnie i na całej kuli ziemskiej. Jego słynne wąsy pielęgnowane były z nieprawdopodobną starannością i liczyły podobno na długość tyle, ile sam generał — niewielkiego jak zwykle Japończycy wzrostu — liczył na wysokość. Wchodzenie do drzwi stanowiło dla gen. Nagaoka problem, który musiał rozwiązywać ustawianiem się bokiem do wejścia i przesuwaniem się do pokojów.

Wąsy gen. Nagoka, te niesamowicie długie wąsy, stały się legendą. To też z chwilą zgonu generała pojawiła się kwestja, co zrobić z tymi wąsami? Ciało generała zostało spalone, a popioły złożone w urnie, którą zkolei zamknięto w pięknym grobowcu. Natomiast wąsy po odcięciu zakonserwowano w specjalny sposób i złożono w szklanej skrzynce w osobnym grobowcu. W ten sposób wąsy gen. Nagaoka, bohatera narodowego urosły do roli jakiejś narodowej świętości.

Tego rodzaju hołd wydaje się przeciętnemu Europejczykowi czemś zupełnie niepojętem. Nawet najbardziej wybujały nacjonalizm europejski nie prowadzi jeszcze do tego rodzaju fetyszyzmu. Trzeba jednak pamiętać, że w Japonji patrjotyzm jest religją, a kult bohaterów narodowych przybiera formy zupełnie fantastyczne. Z tego punktu widzenia czczenie wąsów gen. Nagaoka jest tylko jednym z objawów szowinizmu narodowego i skrajnego nacjonalizmu japońskiego.

Na marginesie tej sprawy, która dla Japończyków wygląda bardzo poważnie i uroczyście a dla Europejczyka ociera się trochę o śmieszność, wspomnieć wypada, że i Polska posiadała niedawno jeszcze sławnego wąsacza, niefortunnego dosyć geografa p. Bazewicza, zmarłego w Warszawie przed kilku laty. Człowiek ten przejęty bowiem kultem dla naszych wąsatych pradziadów, którzy podkręcali z satysfakcją sumiaste wiechcie wąsów, pielęgnował olbrzymie wąsy, znane wszystkim dobrze w całej Warszawie. Bazewicz pojawiał się zazwyczaj we fraku i cylindrze, a w porze letniej w pepitowych spodniach, zamaszystym żakiecie i nieodzownych białych getrach przy lakierkach. Bazewicz słynął ze swoich odczytów, protestów wysyłanych do Ligi Narodów i oglaszanych plakatami, oraz map, na których niektóre rzeki polskie płynęły w odwrotnym kierunku, albo mijały miasta zupełnie nie te, przy których płyną. Mapy Bazewicza były wielokrotnie atakowane i to spowodowało osad goryczy w tym zacnym zresztą dziwaku, który obraz sobie geografję za dziedzinę swoich wzlotów.

zg.



Słynny oryginał warszawski Bazewicz. Zmarł on przed kilku laty w Warszawie i chlubił się ogromnemi wąsami. Nie ulega wątpliwości, że były one dłuższe od wąsów gen. Nagaoka. Bazewicza jednak nikt nie znał poza Warszawą. Pojawiał się prawie codziennie na Nowym Świecie, gdzie wzbudzał sensację swoim cylindrem i mikołajewskiem futrem, zarzuconem na frak. Był bardzo uprzejmy dla kobiet i przepadał za niemi, odnosząc się do nich z wyszukaną uprzejmością. Gdy wchodził do kawiarni (ostatnio chodził do Itallji) ludzie wstawali od stolików i oglądali go, jak dziwowisko. W ostatnich latach toczył homeryckie walki o swoje mapy z władzami szkolnemi.

PIENIĄDZE LEŻĄ NA ULICY.



Dobry pomysł może czasem człowieka postawić na nogi. O prawdziwości tego zdania przekonał się na własnej osobie Amerykanin J. E. Nowlan z Kalifornji. — I jego przed rokiem dotknął kryzys i pozbawił środków do życia. Nowlan jednak nie opuścił ramion, ale cicho i bez rozgłosu zabrał się do konstruowania maszyny... do zbierania szarańczy. Kiedy miał już zapas, obejmujący około siedem miljonów tych owadów, zasuszył je i zaczął pakować do słoików (na zdjęciu), jako doskonałą przynętę na ryby. Rychło znaleźli się odbiorcy na ten towar i Nowlan dorobił się majątku.

OJ NIEZDARNI BIJOGOS!



Dziewczęta z wysp Bissagos.

Znany badacz afrykański Bernatzik dokonał na wyspach Bissagos (niedaleko Gwinei portugalskiej) odkrycia, które ucieszyło wiele kobiet.

Bernatzik odkrył szczep krajowców, w którym główna rola przypada kobietom. Mężczyźni w tym szczepie, nazywani „Bijogos“, uważani są za podrzędne stworzenia. Ich jedyne zadanie polega na posłusznem wykonywaniu rozkazów swych małżonek.

Gdy jakaś dziewczyna szczepu „Bijogos“ zamierza wstąpić w związek małżeński, to nie czeka ona bynajmniej, aż się zjawi jakiś wielbiciel, lecz sama zabiera się do wykonania swego planu.

Przed szałasem szczęśliwego wybrańca rozsypuje się miarkę ryżu, co jest dowodem, że jest on pożądanym. Jego obowiązkiem jest zgłosić się natychmiast u narzeczonej, która udziela mu też posłuchania .

W szałasie dziewczyny wybraniec spędza z nią słodkie „sam na sam“ — poczem zostaje chwilowo zwolniony — Wraca do swego mieszkania i cierpliwie wyczekuje. Jeżeli po kilku dniach znajdzie na progu woreczek ryżu, to znaczy, że nazajutrz odbędzie się jego ślub.

Mądry „Bijogo“ stara się w dalszem pożyciu małżeńskiem zadowolnić swą małżonkę, gdy bowiem nie zadowolni jej... to poprostu pokazuje mu ona drzwi, czyli każe mu wynosić się z domu — i to jest zarazem rozwodem.

Według miejscowych praw mężczyznom surowo jest wzbronione starać się o względy niewiast. Ich jedynem zadaniem jest posłuszne spełnianie rozkazów dam.

OD KRAKOWA DO MIECHOWA.

Piękny słoneczny dzień! Jedziemy wraz z prez. P. K. P. inż. Bobkowskim, oraz naczelnikiem inż. Graffem na objazd nowobudującej się linji kolejowej Kraków—Miechów.

Pierwszy raz wysiadamy z auta u granic miasta na rogatce warszawskiej i oglądamy symboliczny blok kamienia węgielnego, położony w dniu 5-go grudnia 1931 r., jako w dniu wyprowadzenia budowy powstającej linji kolejowej poza granice miasta i jako początek budowy odcinka kolejowego Kraków—Miechów.

— Tyle było z początkiem grudnia 1931 r. — mówi p. prezes Bobkowski — a teraz zobaczą panowie, co za ten czas zrobiliśmy, walcząc z wielkiemi trudnościami finansowemi.



Robotnicy przy pracy na nowobudującej się linji kolejowej Kraków—Miechów.

Od tego kamienia ciągnie się długi nasyp kolejowy, przechodzący w wiadukt, przerzucony przez szosę warszawską i biegnący w kierunku miasteczka Sudoł, dość odległego jednakże od linji kolejowej. Nasyp przechodzi powoli w długi, bo blisko 2-kilometrowy wykop. Opuszczamy auto, które jedzie, aby nas czekać przy drodze, znajdującej się obok końca wykopu, a sami pieszo idziemy oglądać pracę. W obecnym czasie kryzysu, bezrobocia i zastoju w robotach, wchodzimy w świat, w którym objawów depresji ekonomicznej i gospodarczej nie widać. Tam niema bezrobocia, przeciwnie wre gorączkowa praca, miejscami na dwie, a miejscami nawet na trzy zmiany, uwijają się postacie robotników, zajętych przy robotach ziemnych. Twarze ich zadowolone z posiadanej możności zarobkowania.

— Na przestrzeni Kraków—Miechów pracuje 1.800 robotników — objaśnia nas inż. Graff. Z tego na Kraków przypada 570 robotników, na Zawiercie 500 robotników, a 730 robotników zwerbowanych jest do pracy z okolic, przez które nowa linja przechodzi.

— A czy mógłby pan inżynier zdradzić nam, ile wyniosą koszta tej nowej linji?

Zdaje mi się, że pytanie to wprawiło poniekąd mego rozmówcę w zakłopotanie. Po chwili namysłu odpowiedział inż. Graff, że koszty te wynoszą 5 miljonów zł., a dotychczas wydano już na odcinek Kraków — Słomniki około 1,500.000 złotych.

— Trzeba tu zaznaczyć — wtrąca tu prez. Bobkowski, że budowa ta jest kosztowniejsza i wymagająca większego nakładu pracy, choć linja ta jest długości tylko 50 km, aniżeli druga linja kolejowa, obecnie się budująca, a to Radom—Warszawa długości 100 km. Jest to zupełnie wytłumaczone, jeśli się weźmie pod uwagę trudności terenowe, z któremi my na naszym odcinku musimy walczyć. Przy jaknajekonomiczniejszem prowadzeniu linji roboty ziemne wynoszą 3.900.000 m^2.

Przed oczyma naszemi przesuwa się wąż wagoników z ziemią, wydobytą z wykopu.

Liczba ta chociażby jaknajwiększa — informuje nas naczelnik Graff — nie wyrobi panom przekonania o ogromie pracy. Lecz proszę spojrzeć na przejeżdżające wagoniki. Każdy z nich pomieści zaledwie trzy czwarte m^2 ziemi, a zatem na przewiezienien całej obróconej ziemi potrzeba 4,875.000 wózków!

Nietylko się nasypy i buduje się wykopy na tej trasie. Wiele pracy wymaga też budowa objektów mostowych. Na całej trasie Kraków—Słomniki będzie ich 98, a wśród tych wiele będzie większych.

Na przestrzeni Kraków—Słomniki, należącej do dyrekcji krakowskiej, rozmaitych mostów i przepustów jest 54. Obecnie gotowych lub na ukończeniu jest 24 takich objektów. Poważniejsze — to dwa wiadukty, przerzucone nad szosą warszawską, most na Dłubni i na Szreniawie, oraz większy wiadukt kolejowy na 23 km. od Krakowa nad głęboką doliną.

Po oglądnięciu pierwszego odcinka prac Kraków—Sudoł, odjechaliśmy autem do Batowic. I tam wre tak, jak i na innych odcinkach, gorączkowa praca. Dysząc i sapiąc ciągną maleńkie lokomotywki sznury wagonów z ziemią. W Batowicach natknęliśmy się na porę wypłaty. Przypatrujemy się uradowanym twarzom robotników, liczących swoje zapracowane grosze.

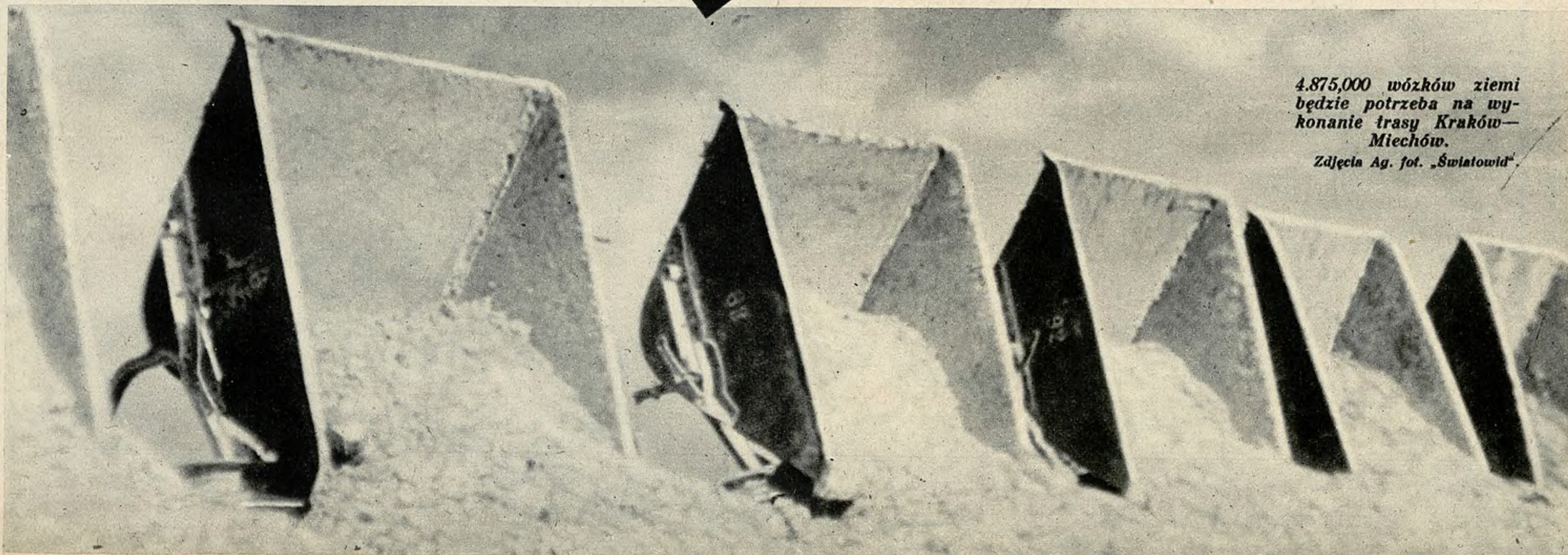
— Te pieniądze, te pieniądze! Od tego wszystko uzależnione. O ile będzie tak, jak jest dotychczas, to z końcem listopada br. zaproszę panów na otwarcie pierwszego odcinka trasy Kraków—Miechów.

— A kiedy pojedziemy do Warszawy skróconą linją?

— To, jak dobrze pójdzie, to dopiero w grudniu 1934 r. — kończy swą rozmowę na temat nowobudującej się linji — prez. Bobkowski.

Jan Kisielewski.

Lokomotywa, dowożąca wózki z ziemią.



4.875,000 wózków ziemi będzie potrzeba na wykonanie trasy Kraków—Miechów.

Zdjęcia Ag. fot. „Światowid".

Ludwik Solski pozdrawia...



Solski, jako hetman Żółkiewski w sztuce Brończyka. Wspaniały obraz bohatera, mimo podeszłego wieku pełnego siły ciała i ducha.

Ależ, szanowny panie Redaktorze, pisanie, to doprawdy nie jest mój atrybut...

— Mistrzu czcigodny...

— Oj, panie Redaktorze, tylko nie „mistrzu". Nie chciałbym, aby ten tytuł był przyszyty do mojej działalności artystycznej...

— Ale dlaczego — dlaczego Mistrzu...

— Nie, nie, zasługi moje są tak małe, tak niesięgające szczytów, że do doskonałości, do „mistrzostwa" jakaż jeszcze daleka — a może i niedościgła droga... Proszę mi mówić — „panie Ludwiku" — a jeśli już koniecznie chce mnie pan uhonorować jakąś godnością, to niechaj będzie — „artysto" — albo, albo — (petitem) „dyrektorze"...

— No, zgoda, zgoda, niechaj będzie — „panie Dyrektorze". Prosimy więc o napisanie paru słów do „Światowida".

— Szanowny, drogi, dobry panie Redaktorze, stawia mnie pan w ambarasującem położeniu.

— Dlaczego?

— Bo, widzi pan, gdy konieczność zmusza mnie do ujęcia pióra, aby coś napisać — coś, co ma być wydrukowane, a potem czytane przez ogół, ogarnia mnie „trema"...

— Jakto trema?

— No, trema, prosta, zwykła trema, aktorska trema... boję się bowiem, czy ja, człowiek „niepiśmienny", człowiek, co tak rzadko macza pióro w kałamarzu — nie chlaśnie jakiejś „gaffy", nie usadzi kleksa, dużego, czarnego, lub co gorsza — brzydko plamiącego...

— Ależ panie — panie Artysto...

— Tak, dobrze pan powiedział „artysto", to mi przypomina, że jestem aktorem.

— Lecz cóż ma aktorstwo wspólnego z naszą prośbą?

— O, bardzo wiele, bo — widzi pan, aktor, aby mógł wywrzeć wrażenie, być zrozumianym, musi być bardzo, bardzo przygotowany pamięciowo a przedewszyskiem umieć zgłębić, „rozgryźć" — że tak powiem, charakter roli...

Tego niełatwo mógłby się podjąć człowiek pióra... naprzykład pan, panie redaktorze jako literat, pan, co od wczesnego rana do późnej nocy nie wypuszcza pióra z ręki, albo i kłapiesz palcami po „Remingtonie"... Dlatego też — to, co wyjdzie z pod twego pióra, nosi znamiona nieskalanej formy zawodowego pisarza.

Temi więc objekcjami powodowany — wybacz, wielce szanowny panie Redaktorze, że ograniczę się tylko do skreślenia jedynie paru słów, aby zaznaczyć, że w pamięci mojej zapisuję niezatartemi głoskami wdzięczność, jaką odczuwam dla Krakowian za uczucia, jakiemi darzyli mnie przez długie lata, jakiemi darzą mnie i dziś — jakiemi darzycie mnie i Wy — łaskawi krytycy.

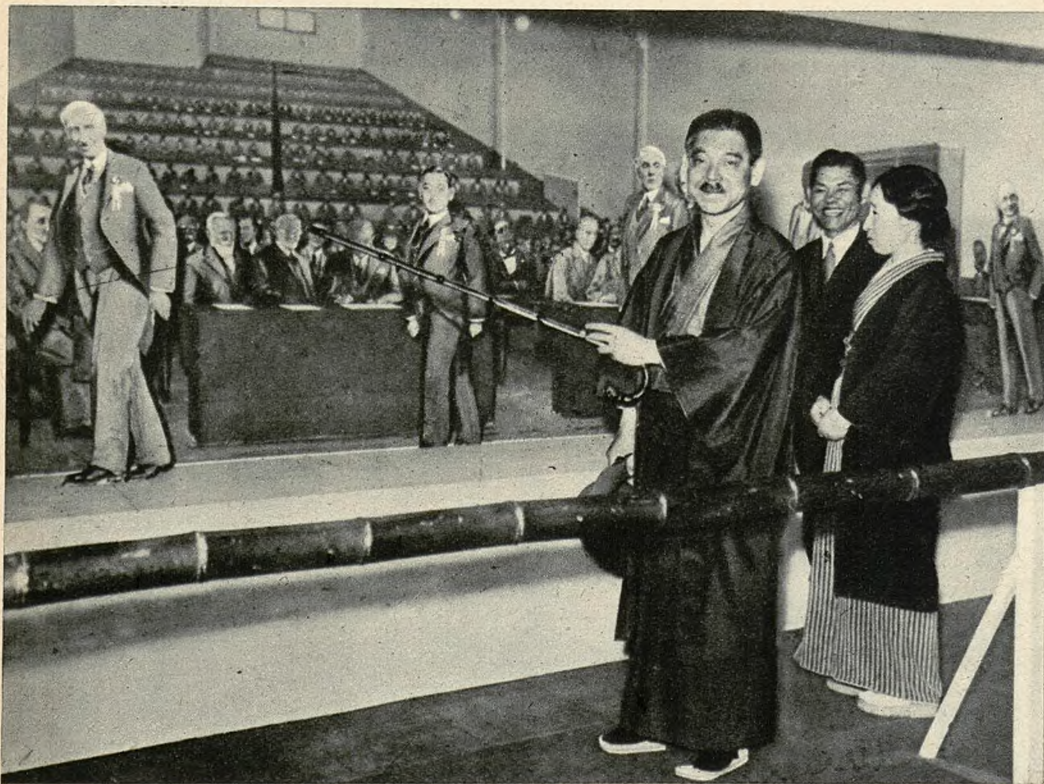
Ludwik Solski.



Solski, jako król Filip w „Don Karlosie" Schillera, przepysznie odtwarza rozpacz potężnego władcy, podejrzewającego żonę o zdradę.



Solski w genjalnej kreacji Harpagona w „Skąpcu" Moliera, malowany przed kilkoma dniami przez Kazimierza Sichulskiego z okazji krakowskich występów — przepiękne połączenie dwóch znakomitych artystów: niezrównanego aktora i świetnego malarza, twórcy pamiętnej „Teki Melpomeny".



LIGA NARODÓW STAŁA SIĘ POŚMIEWISKIEM. Liga Narodów nie jest popularną nigdzie. Kobiety uważają, że jest to instytucja śmiertelnie nudna, a mężczyźni nie mają dla niej żadnego respektu, wiedząc doskonale o jej bezsile i starczym marazmie, na który Liga choruje, pomimo, że liczy dopiero 15 wiosen. Najbardziej jednak nielubiana jest Liga Narodów w Japonji, gdzie opinja publiczna oburzona jest tem, że Liga śmiała oświadczyć się przeciwko okupacji Mandżurji i Dżeholu przez wojska Mikada. Aby zadokumentować swoje oburzenie, Japonja wystąpiła z Ligi Narodów. W związku z tem pewien właściciel herbaciarni w Tokio wpadł na doskonały pomysł bawienia swoich gości przedstawieniem, parodjującem posiedzenie Ligi Narodów. Poustawiał więc figury woskowe, przedstawiające różnych wybitnych przedstawicieli Ligi, którzy defilują przed roześmianem audytorjum, drwiącem sobie z nich niemiłosiernie. Moment ten przedstawia fotografja.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



ZGON AWANTURNIKA, KTÓRY ONGIŚ BYŁ KRÓLEM. W Szwecji zmarł w 77-ym roku życia niejaki Karol Wilhelm Oeberg (na zdjęciu). Wcześnie opuścił on dom rodzinny i udał się w podróż po świecie, aby szukać przygód i zająć się badaniem życia i zwyczajów ludów pierwotnych. Przybywszy na wyspę Tasmanję, zdobył sobie wkrótce zaufanie tamtejszych krajowców i został przez nich obrany królem. Później jednak zatęsknił za ojczyzną i powrócił do Europy, przywiózłszy ze sobą bardzo bogate zbiory etnograficzne, które obecnie znajdują się w muzeum Stora Skedvi.

W GŁĘBINACH MORSKICH.

„Prawa, które są ważne u nas na górze, nie mają żadnego znaczenia na dnie morskiem". Tak twierdzi komandor Elsberg, oficer amerykańskiej marynarki, który wydobył na powierzchnię morza więcej zatopionych łodzi podwodnych, niż wszyscy jego koledzy z całego świata.

„Jest tam — głosi dalej komandor Elsberg — bardzo dziwnie w okolicy zatopionych okrętów i innych pechowych statków. Mam wrażenie, że podobnie musi wyglądać na księżycu".

Tak się wyraża człowiek, który był już niezliczone razy na dnie morskiem i jest z niem dobrze zaznajomiony. Nie lubi jednak morza i twierdzi, że poeci opisują morze w znacznie piękniejszych barwach, niż jest tam w rzeczywistości.

Słuchając opowiadań Elsberga, nabiera się dopiero przekonania, jak niebezpiecznym jest zawód nurka. Aż do głębokości 18 metrów wgłąb morza jest jeszcze jako tako, bo to nie jest jeszcze głębia, prawdziwa głębia rozpoczyna się dopiero na głębokości 27-iu metrów.

Komandor Elsberg opisuje, że przy wydobywaniu łodzi podwodnej „S — 54" chodził ciągle koło niej, na głębokości 40 metrów i zauważył, iż jego ciężkie buty nie zostawiały żadnego śladu na dnie morskiem, dopiero na głębokości 60 metrów, wszędzie, gdzie tylko postawił nogę, podnosiły się z dna morskiego „chmurki kurzu", zupełnie tak samo, jak na zaniedbanym gościńcu.

„Dokoła — są dalsze jego słowa — nie było widać żadnej rośliny, żadnych muszel, noga stąpała po nagiej ziemi i tylko ryby uwijały się w wielkiej ilości dokoła"

W innem znowu miejscu, na głębokości 30 metrów pod powierzchnią morza, grunt był czarny, błotnisty i szlamowaty. Kto się zatrzymał na chwilę, ten zapadał po kolana, a nawet po pas. Jeden z naszych nurków przebył w ciągu godziny zaledwie 9 metrów, tyle czasu zajęło mu wyciąganie nóg z szlamu i stawianie ich dalej z niemałą trudnością.

Najdziwniejsze i najbardziej zdumiewające uczucie, jakie się zwykle tam na dole przeżywa, to jest wrażenie, iż człowiek został przeniesiony do innego świata, gdzie wszystkie prawa fizyczne straciły zupełnie swoją władzę.

Jeśli się napuści powietrza do kurtki nurka, wówczas staje się on tak lekkim, że może wzlatywać jak piórko. Ale jest to bardzo niebezpieczna zabawka, gorsza, niż ciągłe sąsiedztwo rekinów. Takie podlatywanie znaczy, iż człowiek znajdzie się tak szybko na powierzchni morza, iż nie będzie już mógł dostosować swego ciała do zmienionego ciśnienia, a taki eksperyment grozi śmiercią.

Również niebezpiecznem jest zbyt szybkie opadanie w głębię morza, bo gdy nurek natrafi na przepaść i spada 12 do 18 metrów wdół, nie mając czasu na przystosowanie swoich urządzeń do ciśnienia słupu powietrza, znajdującego się w takiej głębi, to nurek zostaje zduszony, a ciało wyciągnięte z hełmu jest zawsze spalone.

— Na dnie morza niema żartów — kończy swe opowiadanie komandor Elsberg.

Największem jednak niebezpieczeństwem dla nurka są różne **drapieżniki morskie**, z którymi nurkowi przychodzi niejednokrotnie staczać walkę na życie i śmierć.

Najgroźniejszym wrogiem człowieka, znajdującego się w nurtach oceanu, nie są **rekiny**, te „tygrysy morskie", które można odstraszyć wypuszczeniem z hełmu nurka kilku bąbli powietrznych, ale inne potwory, mniej trwożliwe, a bezwzględnie atakujące człowieka.

Do nich należy przedewszystkiem olbrzymi węgorz morski (conger). Gdy ryba taka, której waga dochodzi do cetnara, wbije się swemi wilczemi zębami w ciało ludzkie, jedynym sposobem oswobodzenia ofiary ze strasznego położenia jest ucięcie łba drapieżnikowi, ale nawet i wówczas szczęki potwora pozostają kurczowo zaciśnięte — tak, że trzeba je gwałtem roztwierać.

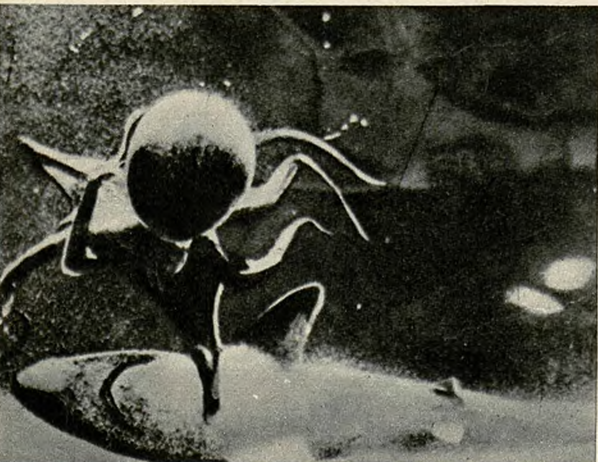
Również niebezpieczną dla nurka jest **„czarcia ryba"**, zwłaszcza z gatunku „barraksita", posiadająca olbrzymi pysk, najeżony rzędami ostrych, jak u psów kłów. Ryba ta szybuje w wodzie z szybkością błyskawiczną i niby strzała uderza w upatrzoną ofiarę.

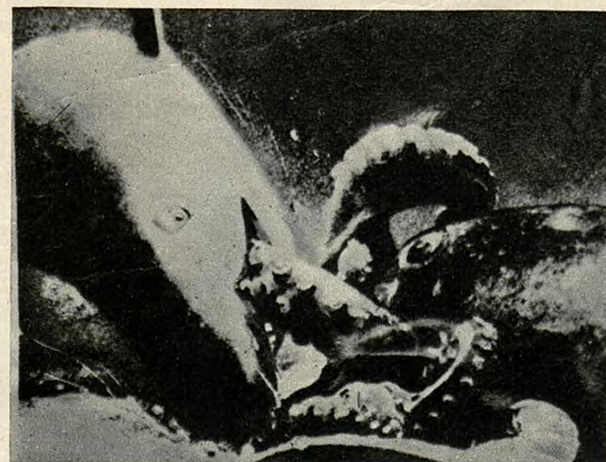
Spotkanie z inną rybą — tak zwaną **„rybą-żądłowcem"**, lub **„morskim ludożercą"**, kończy się często dla nurka tragicznie. Ryba ta atakuje swym długim ogonem, wyposażonym w zęby, zawierające bardzo niebezpieczną truciznę. Straszny ten potwór potrafi nadto porwać w strzępy kauczukowe ubranie nurka.

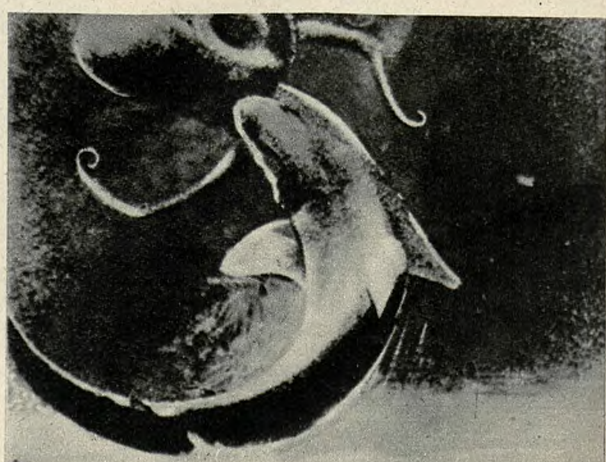
Prawdziwem monstrum — niby „smokiem" morskim, jest **polip** „oktopus" o fosforyzujących wyłupiastych oczach, o pysku w kształcie dziobu kondora i o licznych, grubych jak powrozy mackach.

Płaz te jest równie wstrętny, jak i niebezpieczny. Wszelkie stworzenie, a także człowiek nieuzbrojony, dostawszy się w „objęcia" tego potwora, narażony jest na pewne niebezpieczeństwo utraty życia.

A jednak pomimo tylu niebezpieczeństw — mówi jeden z nurków — zawód nasz, obfitujący w fantastyczne przygody — jest najpiękniejszym w świecie, pracujemy bowiem w krainie zaczarowanej, gdzie mamy przed sobą majestatyczny w swej grozie krajobraz.







Poszczególne fazy zaciętej walki rekina z mątwą koło wysp Koralowych.



MOBILIZACJA DZIECI NA MIEJSCU EGZEKUCJI. Do rzędu bohaterów niemieckich ery powojennej należy niejaki Schlageter. Był to agitator, który uwijał się po Śląsku w czasie plebiscytu i prześcigał wszystkich w polakożerstwie. Potem zniknął i wypłynął znowu w Nadrenji, okupowanej wówczas przez Francję. Aresztowano go tam jako szpiega i rozstrzelano w Düsseldorfie w maju 1923 r. Oczywiście Hitlerowcy przypomnieli sobie tego „bohatera" i w tych dniach urządzili ku jego czci w Düsseldorfie ogromne uroczystości. Na zdjęciu dzieci szkolne na miejscu, gdzie Schlageter został rozstrzelany. W miejscu tem stoi krzyż i palą się znicze.



Z OBAWY PRZED ZAMACHEM. Bardzo często się mówi, że ludzi popycha do zbrodni brak pieniędzy. Tymczasem obecnie okazuje się, że największymi zbrodniarzami są ci, którzy mieli do dyspozycji miljardy. — Niemal co dnia wychodzą bowiem na jaw coraz to nowe szczegóły olbrzymich oszustw, szalbierstw i innych kryminalnych przestępstw, których bohaterami są owi legendarni Morgani, Harrimani i inni potentaci finansowi. Na szczęście prezydent Roosevelt zabrał się do tych najgorszego gatunku bandytów. Nic dziwnego, że opinja publiczna w Ameryce zwraca się gwałtownie przeciwko wszystkim potentatom finansowym, niezawsze badając ściśle, czy w danym wypadku potępienie byłoby słuszne. Na zdjęciu magnat naftowy, John Rockefeller, udający się w towarzystwie dwóch policjantów do kościoła. Mają oni za zadanie pilnowanie miljardera, aby go uchronić przed ewentualnemi zamachami.



Z WYSTAWY W CHICAGO. Otwarta niedawno wystawa stuletniego postępu w Chicago cieszy się olbrzymiem powodzeniem. Jest bowiem naprawdę imponująca. Na zdjęciu pasażerowie z epoki kamiennej, udający się z Nowego Jorku do Chicago na wystawę. Są to odpowiednio ubrani aktorzy, którzy mają symbolizować zamierzchłe czasy, kiedy się nie śniło jeszcze o postępie i cywilizacji.



MANEWRY GÓRSKIE ARMJI NIEMIECKIEJ. Odbyły się w Bawarji. Brała w nich udział przedewszystkiem artylerja, ćwicząc się w strzelaniu. Doświadczenia wielkiej wojny wykazały, że artylerja niemiecka nie stała na wysokości zadania, ustępując francuskiej i austrjackiej. To też Niemcy do zdobywania twierdz musieli sobie wypożyczać słynne austrjackie „moersery" 30.5 cm. Na zdjęciu obserwator artyleryjski, badający teren zapomocą lornety peryskopowej. *„Fotoaktuell".*

FELIKS DANGEL.

WIOSENNE ZLOTY.

Daleko było do świtu jeszcze, ale już dziwny poświt znaczył wyraźnie kontury wiekiego bórbagna, mleczne światło wydobywało z każdą chwilą więcej pni leśnych, odkrywało przed okiem ludzkiem coraz więcej szczegółów, dotąd w tumanach mroku drzemiących.

Nad wielkiemi rozlewiskami holebotała się snem upojona mgła perłowa, którą pieścił wiatr ciepły, pierwszy zwiastun dnia.

Gdzieś tam hen! we mgle onej zakwilił ptak jakiś w gnieździe zbudzony, na białej brzozie zamieszkały kos zawrzeszczał przeraźliwym świstem.

— Świt! Świt!

A wtedy na niebie, jedna po drugiej gasnąć



Pies, aportujący kaczkę.

zaczęły gwiazdy jak gdyby przerażone bladością zachodzącego księżyca, jak gdyby zaniepokojone łuną pożaru, którą na wschodzie nieba zapalało słońce.

Mgła z zimno perłowej stała się różano-opalizującą, wiatr stawał się bardziej ciepłym i suchym, gdyż zmienił swój kierunek i dął od suchych borów sosnowych.

I wody ożyły.

Niewidzialny prąd jakiś zakolebał czubem łodzi i pochylił szumiące sitowie.

— Już szósta. Matwiej, długo jeszcze?

Organizm ludzki, pozbawiony całonocnego odpoczynku i pieszczot pościeli, drgał cały konwulsyjnie — wołając o nocleg.

— A kto ich wiedaje, panocek, utka (kaczka), widno czasów (zegarka) nie maje, tak i lecić kiedy kce.

Sytuacja stawała się beznadziejną, nogi podkurczone w niewygodnej pozycji na małej szucholeji bolały nieznośnie, cisza bezwzględna płynąca nad rozlewiskiem, gasiła i przymykała zmęczone oczy.

Na lufach broni osiadły miljardy małych kropelek rosy, która czepiała się ubrania i obuwia, zwilżała ręce i twarz.

Mgła opadała coraz to niżej, na niebie, bladem jeszcze ei bezbarwnem, rozlała się złota powódź słońca.

Aż wtem w ciszy tej bezwzględnej, zaszemrał dźwięk dziwny, do żadnego z gosów zwierząt i rzecy martwych niepodobny. Cichy syk, syk ostry a przeciągły, jak gdyby na strunach złocistej arfy powietrza zagrała boginka wodna.

Miarowo zasyhotało coś w pobliżu i z chlupotem na wody opadło.

— Matwiej!

— Ci..i...i... to że i oni.

Ciągnęły kaczory.

Jeden po drugim, sycząc ostremi lotkami w powietrzu, wznosiły się z traw nadbrzeżnych i opadały gdzieś tu w pobliżu.

Stary strzelec skurczył się w ramionach, wyblakłe jego oczy darły w strzępy żółtą ścianę oczeretu, wypatrując zwierzynę-ptaka.

Zbliżył się do mego ucha.

— Tak i panok gotowsia — naczynoju.

Raz jeszcze sprawdziłem zawartość luf.

Nastąpiła krótka nerwowa lustracja ładownic.

— Gotów?

— Gotów.

Stary skurczył się jeszcze bardziej, ręce przyłożył do ust... i zarechotał.

Kwa.a.a.a...

Raz i drugi...

Poprzez ciszę oczeretu popłynęło namiętne nawoływanie, krekuchy, które mistrzowsko imitował człowiek.

I cisza.

I jeszcze raz.

„Krekucha" zda się dobywała najwdzięczniejsze tony z głębi namiętnego gardziołka...

Nad cichą, namiętnym, kaczym głosem tylko wołającą łodzią zatrzepotało...

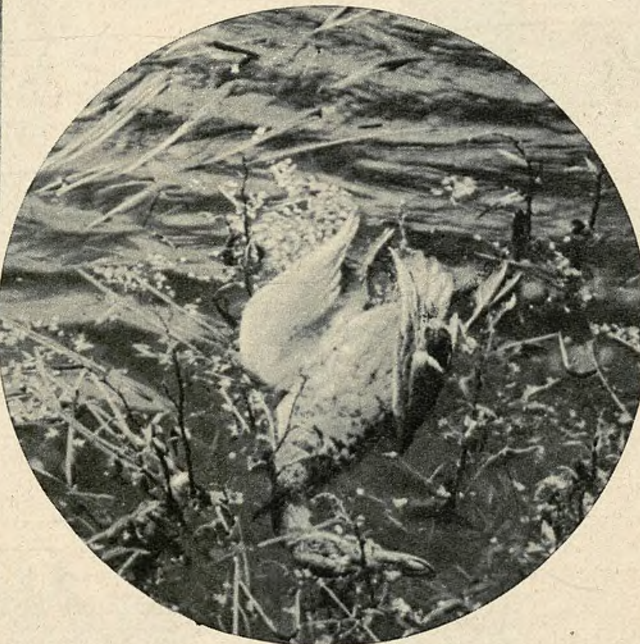
Ciągnęły kaczory.

Zwabione głosem kochanki, na gody wołającym, niebaczne na podejrzany i w trawach ukryty jakiś przedmiot, czółno sunęły niziutko ponad lasem trzcin, błyskotając w promieniach słońca wspaniałym pancerzem.

Takie były piękne, tak ufne.

— Tak i strelaj, panok.

Kaczory wirowały wielkiemi kręgami nad łodzią.



Po celnym strzale.

Czarne lufy broni błądziły po niebie, jak drogowskaz śmierci.

— Bęc!

Kaczor załamał się w locie...

Padał teraz pionowo, zakreślając wielki łuk, podświadomie, utrzymując równowagę jednem skrzydłem.

Drugie zwisało bezwładnie.

Zachlupotała opodal woda.

— Tak on już i nasz, panok.

Czółno, targnięte silnem ramieniem, przedzierało się poprzez gąszcz trzcin i wodorostów, ku miejscu, gdzie kołysząc się na wodnej fali leżał zabity ptak, wspaniały w godowym płaszczu swego upierzenia.

I znów wielka cisza zaległa nad jeziorem.

Tak, jakgdyby na błękitnej jego tafli nigdy nie odbyła się żadna tragedja, jak gdyby tych miejsc nie odwiedzał nigdy człowiek, za którym chadza śmierć i zniszczenie. Tylko za chwilę znów w kamyszach odezwała się „Krekucha" i znów ciągnęły kaczory...

Na gody miłosne, czy na śmierć?!

— — — — — — — — — — —

Nie śniło się jeszcze było ludzkości o wielkich lotach transatlantyckich, a sen o pierwszym balonie Montgolfier'a był wielkim snem przyszłych tysiącleci, gdy już w epoce młodej ziemi, stalowe nieba wielkich mórz, znaczone były niewidzialnemi dla oka ludzkiego szlakami ptasich wędrówek zamorskich. Tajemnicza siła instynktu, którą cywilizacja odebrała człowiekowi, nieomylny zew i nakaz Wielkiego Prawa bytu, kazał ptactwu te drogi przemierzać.

Od jeziora Victoria Nyassa, od zielonych wód Egiptu i wielkich słonych delt aleksandryjskich, płyną kluczami, ku polskim wodom, kaczki, żórawie, gęsi i łabędzie.

Gdy na pierwszej katarakcie Nilowej pod Assuanem zapalano ognie sygnałowe na znak, że Nil przybiera, pierwsze ruszyły boćki do strzech maćkowych. A wtedy na bagienkach i rozlewiskach jeziora Victorji gromadzić zaczęły się „polskie" kaczki i żórawie.

Zaczęły się wielkie sejmy i narady, przedsiębrano loty próbne, przeprowadzano selekcję lotnych brygad, aż dnia któregoś ruszyły ptasie eskadry ku północy.

To nieomylny znak wiosny na ziemiach polskich.

Zleciały.

Na bagniskach właśnie złocić zaczęła się wierzba, w pasiekach zahuczały roje, a błękitną taflę jezior zaludnił kaczy naród.

Syta zimowych triumfów w knieji, odezwała się swym głosem po jeziorach, dubeltówka.

Ciąg kaczorów.

Z bałwankiem z krekuchą i na wabia, ciągną myśliwi w oczeretową gąszcz, a tam, gdzie na nie bie zakwitną wspaniałe żywe bukiety ptasie, tam słychać strzały, kosbę śmierci.

— — — — — — — — — — —

Łódź otarła się o opląsające na fali pławiki sieci...

— Jak tam ryba Stepan, bierze.

— At sława Bohu panok, pomaleńku.

— A czegóż ty na rzece, a nie na jeziorach sieci ciągasz?

Rybak spojrzał jakoś smętnie ku niebu.

— Tam już panok kacze wesele, szczot ich triastia, to i rybka wybrali.

— Zabiłem trzy kaczory.

— Ot i pięknie tak.

— Dowidzenia.

Łódź pomknęła z prądem.

— Szczastliwo panoczek.

Za chwilę zginął z oczu pochylony nad swemi sieciami, zawsze zadumany, nieodrodny syn swojej ziemi. Czółno skręciło w labirynt wodny, w gąszcz splątanych wodorostów i trzcin.

Jakaż tu cisza słoneczna.

Tylko hen! tam w górze sunąc kluczami wołają żórawie.





Prześliczna biała pyjama plażowa ze sweterkiem i berecikiem również całkiem białym.

PANI A SPORT.

Elegancki kostjum tennisowy z białej wełny. Spodniczka z ładnie ugrupowanemi fałdami po dwu stronach.

Sporty letnie mają dla pań tę przewagę w stosunku do zimowych, że pozwalają na duże urozmaicenie stroju, tak z powodu większej ilości potrzebnych na różne rodzaje sportu kostjumów, jakoteż możliwości fantazjonowania na ich tle.

Tenis daje możność wyzyskania białego koloru, właściwego dla pojawienia się na korcie. Tegoroczne zaś gatunki wełny i jedwabiu mają duży i piękny wybór na sukienki tenisowe, których główną cechą ma być wygoda, prostota... i to, co zresztą każdej tualecie jest potrzebne — szyk i elegancja. Krój prosty wykluczający klosze lub fabanki, operuje przedewszystkiem fałdami spódniczki, zakładkami lub mereżką bluzki bez rękawów. Może to być sukienka w jednej całości lub też spódniczka z bluzką. Jedna i druga ma swoje dobre strony. Ładny sweterek, włożony po partji tenisa na białą sukienkę, odcina się efektownie żywszemi barwami.

Innego rodzaju walory w ubiorze przedstawia pływanie, którego pora właśnie nadchodzi. Na plaży, poza kostjumem kąpielowym, mniej więcej zawsze jednakim, panuje barwna pyjama. — Pomysłowość mody jest w zakresie pyjamy bardzo urozmaicona, bo każdy materjał na nią uznano za dobry, byle sam w sobie miał walory piękna. To też kwitnie plaża wszystkiemi barwami tęczy i mienią się stroje pań niby motyle, tem bardziej do nich podobne, im lżejsze materjały rozwiewają się w nadmorskim wietrze. Tu i tam jasną plamą odcina się pyjama zupełnie biała, o tyle mniej praktyczna, że razi oczy w pełnem słońcu.

Biały kostjum sportowy prześlicznie wygląda dla tych szczęśliwych pań, które uprawiają — po amatorsku zresztą — sport automobilowy. — Bardziej praktyczne są wprawdzie kostjumy w kolorach, zwłaszcza ciemniejszych lub szare, lecz jeśli kto tylko może, lepiej temi względami się nie kierować. Wówczas na zmianę przy białym ubiorze można sprawić sobie sukienkę z płaszczykiem w tonie karoserji auta, lub też, gdy jest lakierowane dwubarwnie, w obu kolorach, ładnie zestawionych w sukni i płaszczyku.

Tak to sport możliwości mody kobiecej rozszerzył do granic, jakich nie przeczuwały jeszcze nawet nasze matki!

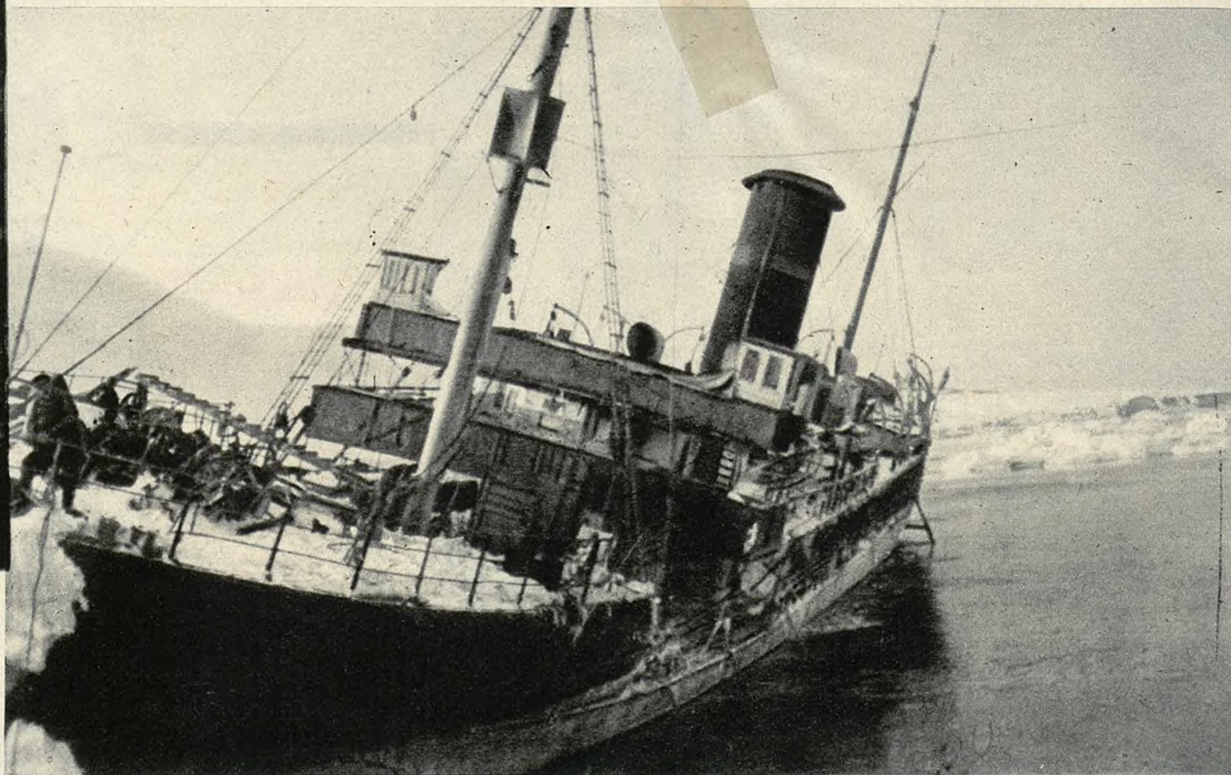
J. Z.

Biały płaszcz wełniany do kostjumu a la Marlena Dietrich ze spodniami zamiast spodniczki.



OBRAZKI Z ROSJI SOWIECKIEJ

W ŚMIERTELNEJ WALCE Z LODAMI



Z NAD MORZA KASPIJSKIEGO

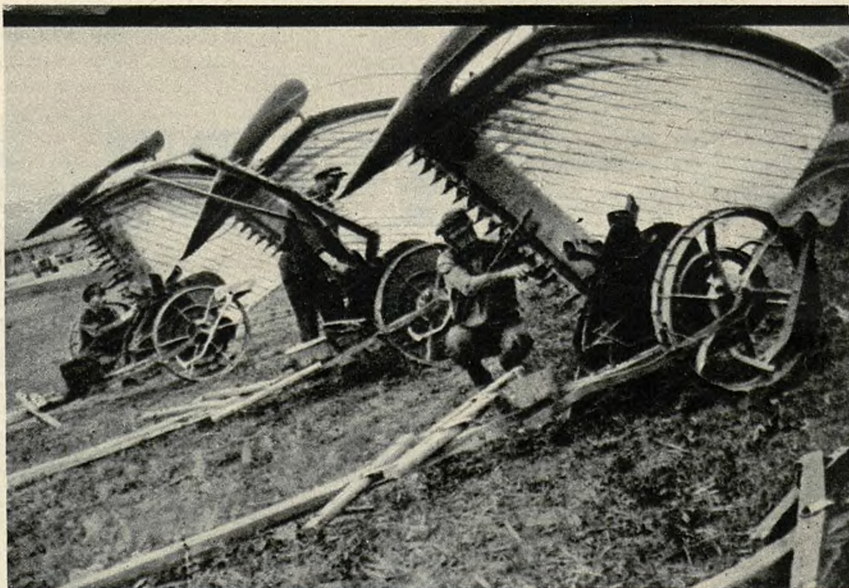


Ryby stanowią ważny artykuł w eksporcie sowieckim. I tak np. do Polski w roku 1931 przywieziono ryb (wyłącznie mrożonych sandaczy i linów) za 5,500.000 zł. Ryby sowieckie pojawiają się także na innych rynkach zagranicznych i są poszukiwane dla swej jakości. Sprawiedliwość każe przyznać, że Sowiety zrobiły bardzo dużo dla zaprowadzenia racjonalnej gospodarki rybnej, która za czasów carskich była prowadzona w sposób rabunkowy, może dlatego, że Rosja posiadała najrybniejsze na świecie wody.

Ważnym ośrodkiem przemysłu rybnego w Sowietach są osady, położone nad morzem Kaspijskiem. Tam poławia się jesiotra i tam przyrządza się słynny kawior z jego ikry. Na zdjęciu rybak z nad Wołgi, niosący olbrzymiego jesiotra.

Badacze okolic polarnych rekrutują się przeważnie z Anglików, Norwegów, Szwedów i Rosjan. Rosja sowiecka, granicząc na ogromnej przestrzeni z rejonami podbiegunowemi, musiała z natury rzeczy także baczną uwagę zwrócić na ich poznanie. Najznakomitszym badaczem tego rodzaju jest prof. Samojłowicz, który uratował życie grupie Nobilego. Przed rokiem prof. Samojłowicz bawił w Polsce i wygłosił odczyty w Warszawie i w Krakowie. Wyprawy sowieckie w okolice polarne odbywają się na łamaczach lodów. Z nich do najlepiej wyposażonych należą „Krassin“ i „Małygin“. Ten ostatni przed kilku miesiącami ugrzązł w lodach i zdawało się, że zostanie zdruzgotany. Na pomoc pośpieszyły mu okręty „Lenin“ i „Rosłan“. „Małygin“ jednak wytrzymał straszliwe parcie lodów i po dłuższym postoju oswobodził się i powrócił do portu macierzystego (na zdjęciu).

OD ZAGONU DO KOŁCHOZÓW



Największego przewrotu dokonały Sowiety w dziedzinie rolnej, przechodząc od gospodarki indywidualnej do zbiorowej, czyli t. zw. kołchozów. Kołchoz, to jakby ogromna wytwórnia zboża, gdzie pracuje się na wspólny rachunek, oddając przepisową część zbiorów państwu. Aby chłopów zachęcić do pracy, wyznacza się im pewne premje za gorliwe spełnianie swoich obowiązków. Gospodarka kołchozów bardzo jeszcze szwankuje, ponieważ chłopi nie mogą przyzwyczaić się do nowego systemu, a nadużycia są na porządku dziennym. Na zdjęciu robotnicy kołchozu, przygotowujący maszyny do siewu.

CZARNI I BIALI PRZYJACIELE



Sowiety zwracają szczególną uwagę na tępienie wśród młodzieży uczuć nacjonalistycznych i uprzedzeń rasowych, zgodnie zresztą ze swoim programem, który propaguje międzynarodowość i rozdział państwa od narodowości. Dzieci muszą żyć ze sobą w zgodzie. Na zdjęciu mały murzynek z międzynarodowej ochronki dla dzieci w Moskwie, w otoczeniu białych przyjaciół.

OBRAZKI Z ROSJI SOWIECKIEJ

W ŚMIERTELNEJ WALCE Z LODAMI



Badacze okolic polarnych rekrutują się przeważnie z Anglików, Norwegów, Szwedów i Rosjan. Rosja sowiecka, granicząc na ogromnej przestrzeni z rejonami podbiegunowemi, musiała z natury rzeczy także baczną uwagę zwrócić na ich poznanie. Najznakomitszym badaczem tego rodzaju jest prof. Samojłowicz, który uratował życie grupie Nobilego. Przed rokiem prof. Samojłowicz bawił w Polsce i wygłosił odczyty w Warszawie i w Krakowie. Wyprawy sowieckie w okolice polarne odbywają się na łamaczach lodów. Z nich do najlepiej wyposażonych należą „Krassin“ i „Małygin“. Ten ostatni przed kilku miesiącami ugrzązł w lodach i zdawało się, że zostanie zdruzgotany. Na pomoc pośpieszyły mu okręty „Lenin“ i „Rosłan“. „Małygin“ jednak wytrzymał straszliwe parcie lodów i po dłuższym postoju oswobodził się i powrócił do portu macierzystego (na zdjęciu).

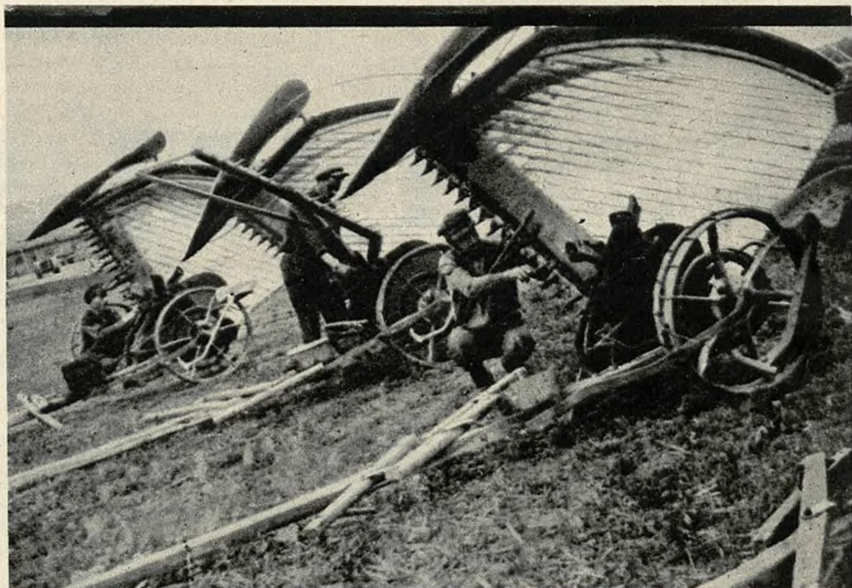
Z NAD MORZA KASPIJSKIEGO



Ryby stanowią ważny artykuł w eksporcie sowieckim. I tak np. do Polski w roku 1931 przywieziono ryb (wyłącznie mrożonych sandaczy i linów) za 5.500.000 zł. Ryby sowieckie pojawiają się także na innych rynkach zagranicznych i są poszukiwane dla swej jakości. Sprawiedliwość każe przyznać, że Sowiety zrobiły bardzo dużo dla zaprowadzenia racjonalnej gospodarki rybnej, która za czasów carskich była prowadzona w sposób rabunkowy, może dlatego, że Rosja posiadała najrybniejsze na świecie wody.

Ważnym ośrodkiem przemysłu rybnego w Sowietach są osady, położone nad morzem Kaspijskiem. Tam poławia się jesiotra i tam przyrządza się słynny kawior z jego ikry. Na zdjęciu rybak z nad Wołgi, niosący olbrzymiego jesiotra.

OD ZAGONU DO KOŁCHOZÓW



Największego przewrotu dokonały Sowiety w dziedzinie rolnej, przechodząc od gospodarki indywidualnej do zbiorowej, czyli t. zw. kołchozów. Kołchoz, to jakby ogromna wytwórnia zboża, gdzie pracuje się na wspólny rachunek, oddając przepisową część zbiorów państwu. Aby chłopów zachęcić do pracy, wyznacza się im pewne premje za gorliwe spełnianie swoich obowiązków. Gospodarka kołchozów bardzo jeszcze szwankuje, ponieważ chłopi nie mogą przyzwyczaić się do nowego systemu, a nadużycia są na porządku dziennym. Na zdjęciu robotnicy kołchozu, przygotowujący maszyny do siewu.

CZARNI I BIALI PRZYJACIELE



Sowiety zwracają szczególną uwagę na tępienie wśród młodzieży uczuć nacjonalistycznych i uprzedzeń rasowych, zgodnie zresztą ze swoim programem, który propaguje międzynarodowość i rozdział państwa od narodowości. Dzieci muszą żyć ze sobą w zgodzie. Na zdjęciu mały murzynek z międzynarodowej ochronki dla dzieci w Moskwie, w otoczeniu białych przyjaciół.

HUMOR ŚWIATOWIDA.

W DZISIEJSZEJ AMERYCE.



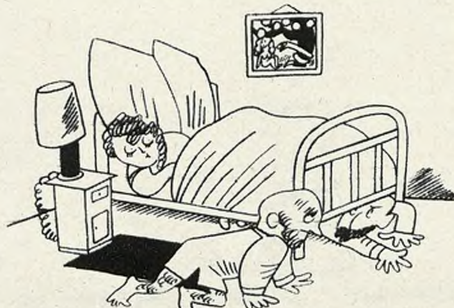
— Niech żyje piwo! Kelner, jedną wódkę!!

JASNOWIDZ W KŁOPOCIE.



— Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie ja schowałem ten przeklęty bilet?!...

NIEPOROZUMIENIE.



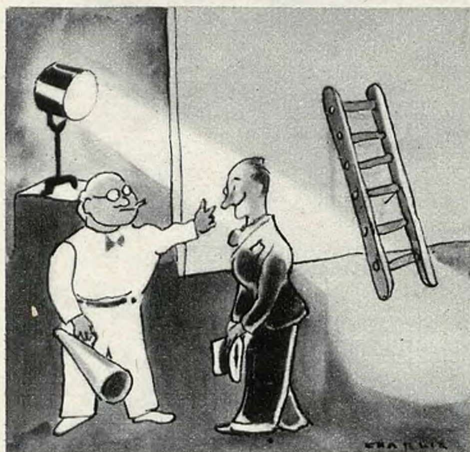
— Ach to ty Leonie; jak mogłeś nas tak przestraszyć; wzięłam cię za włamywacza...

„SZCZĘŚLIWY“ PRZYPADEK.



— Czy to prawda, że Bimbalskiego przejechało auto?
— Tak, na szczęście była to karetka Pogotowia Ratunkowego!...

„GWIAZDOR“.



— Więc pan chciałby pracować w filmie?
— Tak jest, panie reżyserze!
— W takim razie proszę wynieść tę drabinę...

PIERWSZE ROZCZAROWANIE.

— Jeżeli wszystkie kobiety tak wyglądają, to ja już wolę zostać starym kawalerem!...

ZEGARMISTRZ.

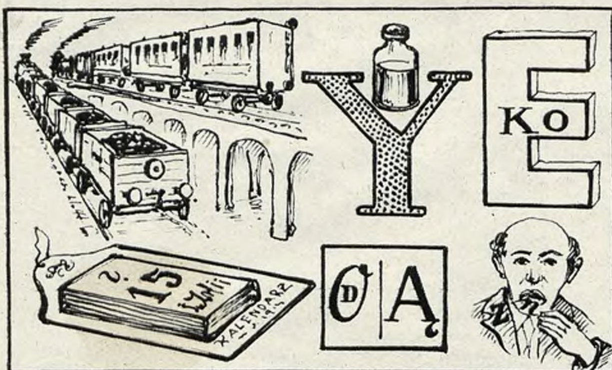
Pan Motylek odebrał zegarek z naprawy. Przyszedłszy do domu zauważa, że zegarek nie chodzi. Wściekły wraca do zegarmistrza:
— „Pan mi zupełnie popsuł zegarek; teraz już wogóle nie chodzi! Zrujnował mi go pan!“
— „Co znaczy zrujnował?“ Krzyczy zegarmistrz „nawet go palcem nie dotknąłem!“

DELIKATNA SPRAWA.

— W jaki sposób zawiadomiła pani pacjenta, że pozostało mu najwyżej 14 dni życia? — pyta lekarz pielęgniarkę.
— Bardzo ostrożnie: zaczęłam od czterech dni.

REBUS.

Z. TIETZA.



SZARADA.

(Ul. „Hak“ czł. hon. Warsz. Kl. Szar.)

Pierwsze-dwa-piąte — salonów — damy
Swoim kaprysom nie znały tamy,
Pierwsi-dwa-trzeci ich towarzysze
Ton nadawali, bo nie kołysze.
Z czwartą-dwudziestą ich się coś mroczy,
Bo minął zbytków miraż uroczy:
Dwudziestepierwsze-trzynaste ziemi
Kartę swą znaczą barwy ciemnemi.
Jak radzić sobie z nieszczęść balastem —
Tym — **pierwszym-drugim i dziewiętnastym?**
Wodzów, czy tłumu, to **trzy-czternasta,**
Że się tak kryzys ciągle rozrasta?
— **Dziesięć dwa** znaczy? — pytamy z trwogą,
Ze się pojednać ludy nie mogą, —
— **Nie-czternaść-osiem-dziewięć-jedenaście?**
W mendlu *-**dwunastym** bezduszny zda się,
Żyje świat dzisiaj w przeważnej masie.
Siódma-piętnasta Idea ginie
Tradycji wielkich w ludów rodzinie;
Tuzin-dwudziestę wszędy zapory
Braci od braci, tak duch ich chory...
I **szóste-drugie** moja szarada,
Bliska już końca, tak się układa,
Że i **szesnasty** jest w niej ubogi,
I wśród manowców nie widać drogi...
Gdy się rozsrożą wojenne burze,
Wspomnijmy sobie, żeśmy — przedmurze;
Niech głos się wzniesie z ponad przepaści:
„Wspak osiemnaści i siedmnaści
Wyzwania wojny zgoła niewinni!
Inni szatani to byli czynni!“...

*) piętnastym.

Za rozwiązanie niniejszych dwóch zadań, redakcja „Światowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida“.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 17 czerwca 1933 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 21.

SZARADA: Rocznica triumfu Sobieskiego pod Wiedniem.
REBUS: Pierwszy przelot Polaka nad Atlantykiem.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 21 nadesłali:

M. Mańczukowa, Tarnobrzeg; Eugenja Łukawicz-Horbaczewska, Warszawa; dr. H. Opielińska, Środa; M. Waksmundzka, Jasło; L. Ciesielski, Warszawa; „Manfred“; W. Kortylewiczowa, Poznań; W. Kortylewicz, Poznań; Zb. Świerczyński, Lwów; W. Stribrny, Katowice; „Erka“, Warszawa; „Wilnianin“, Dubno; Br. Piotrowski, Poznań; **Hanna Chruścielska, Łódź (zł. 20.—)**; Z. Cegielska, Poznań; Józef Stefańczyk, Pabjanice; L. Lenartowski, Poznań; Stan. Nowicki, Poznań; Kaz. Lilpop, Warszawa; Mich. Schmidt, Lwów; Kat. Struszkiewiczówna, Kraków; J. Maziarz, Ozorków; Fr. Szmidt, Dąbrowa Górnicza; Fr. Łukaszewicz, Wilno; A. Loeglerowa, Lwów; Janusz Roman, Warszawa; Bron. Krajewska, Stanisławów; ppor. Zbigniew Jaworski, Stanisławów; Stan. Mikowska, Warszawa; Z. Tietz Warszawa; Jerzy Sass, Krzeszowice; L. Pogoda, Jaworzno; Serafina Kuzniecowa, Wilno; Z. Pieracki, Wilno; M. Czajkowska, Warszawa; A. Gajerski, Cieszanów; M. Niekraszówna, Wilno; Edw. Piekarz, Kraków; Bron. Cholewińska, Warszawa; Wład. Gajowa, Poznań; A. Krężel, Kraków; Z. Gruszkowska Dobczyce; H. Palichowska, Krakow; Kaz. Chendyński, Nowa Wieś Śląska; Jadzia Makielanka, Nowa Wieś Śląska; Z. Knapik, Kraków; Bracia Krężel, Kraków; Z. Bukowska, Kraków; Irka z Żychlina; W. Siuta, Kołomyja; Katarzyna Lenczowska, Łagiewniki; Kaz. Sadkowski Królewska Huta; H. Chruścielska, Łódź; Jawnuta, Słonim; W. Tyblewski, Poznań; „Joteł“; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; M. Strubel, Warszawa; K. Kolaczkowa, Cieszyn; Zdz. Fischbach, Września; H. Gaj, Kraków; H. Wanat, Kraków, H. Łabaj, Kraków; **H. Czaplina, Poznań (zł. 10.—)**; Janina Paczowska, Maków Podhalański; L. Glaszmidt Warszawa; D. Herbstmanówna, Warszawa; R. Dergiman, Wilno; Cz. Kozłowski, Warszawa; R. Tłomczyński, Kraków; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Jawna Kowalska, Warszawa; Tomasz Wołek, Katowice; Kaz. Mirowski, Katowice; Kaz. Gąsior, Katowice; ks. L. Klementowski, Tarnopol; Terena Zacherowa, Jaworzno; B. Ramułtowa, Jeżów; **Stan. Śmiałek, Bochnia (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1 — 31 lipca 1933).**

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Hannę Chruścielską, Łódź (zł. 20.—), H. Czaplinę, Poznań (zł. 10.—), i Stanisławę Śmiałek, Bochnia (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1 — 31 lipca 1933).

Redakcja „Światowida“ nagrody pieniężne prześle niebawem.

U LEKARZA.

— Jakże się pan dzisiaj czuje?
— Całkiem niedobrze, panie doktorze, gniecie mnie wściekle termometr, który mi pan wsadził pod pachę parę dni temu.

MAŁY FILOZOF.

— Stasiu, to nie jest ładnie wskazywać palcem na ludzi!
— To dlaczego się ten palec nazywa „wskazujący“?

WIERZYCIEL.

— Jestem znowu. Czy zawiadomiono szefa, że teraz przyjdę?
— Owszem, on też zdążył w porę odejść...

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI

Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.

Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 24 upoważniający do losowania nagrody

ŚCIEŻKI DO LOCARNO ZARASTAJĄ TRAWĄ...



Locarno (na zdjęciu) uroczo położone miasto w Szwajcarji, stało się symbolem pokoju od czasu, gdy został tam zawarty słynny pakt z Niemcami. Niestety czasy tej sielanki, w którą szczególnie w Polsce nikt nie wierzył, skończyły się bezpowrotnie, a obecnie na całym świecie króluje znowu duch wojny i przemocy. Wyrazem tego ducha jest próba zawarcia paktu czterech, który do panującego już chaosu wnosi nowe zarzewie niepokoju. Wiener Photo Kurier-Wien.